Nr. 1 (okazowy). Kraków, w grudniu 1899 r. Rok I.




Pismo
dla kobiet wiejskich
wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

| | | | |
|---|---|---|---|
| rocznie . . . . | 20 ct. | zagranicą . . . | 40 fen. |
| półrocznie . . . | 10 „ | pojedynczy numer | 2 ct. |

Adres Redakcyi: Szpitalna 7, I p.

Pismo otrzymuje stały zasiłek z Wydawnictwa Imienia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

# Do sióstr z pod wiejskiej strzechy.

Witajcie, witajcie, siostry drogie! Zwracamy się z pozdrowieniem do Was wszystkich naraz, a więc do tych, co zamieszkują żyzne łany Wielkopolski, sławnej kolebki sławnego naszego narodu; i do tych, których chaty kryją się wśród ślicznych gór Galicyi lub Śląska; i do tych także, co kroplistym potem zraszają słoneczne równiny Królestwa lub pracują w otoczeniu szumiących, poważnych lasów litewskich tam daleko, gdzie stoi miasto Wilno, którego bram strzeże Matka Boska Ostrobramska! Zwracamy się z pozdrowieniem do Was wszystkich naraz, bo wszystkie jesteście nam bardzo drogie, jako siostry, jako córki wspólnej Matki Ojczyzny.

Myśli nasze i serca nasze leciały ku Wam oddawna, a teraz polecą i nasze słowa.

— A jakież to będą słowa? spyta niejedna z ciekawszych czytelniczek.

Jakie? — Ach, najlepsze na jakie nas jeno stać: słowa nauki, pokrzepienia, zachęty do wszelakiego dobra, słowa miłości!

Same będziemy uczyć się, czytać, badać, bo więcej na to mamy czasu i w wielkich miastach łatwiej o oświatę, a potem z radością serdeczną podzielimy się z Wami tem wszystkiem, czego się dowiemy. Same ćwiczyć się będziemy w cnotach chrześcijańskich, aby mieć

tem większe prawo i siłę Was do nich zachęcać.

Zapewne, z początku nie łatwo pójdzie Wam czytanie gazetki, niełatwo będzie wyrozumieć wszystko, co w niej napisane. Ale kobieta wiejska i małomiejska nie ulęknie się trudu, bo całe jej życie to trud. A potem, gdy nawykniecie już do czytania, jakże wielką stanie się ono dla Was pociechą, siostry miłe! Gazetka pouczy Was cnoty i prawdy, ona oświeci umysł i serce podniesie, ona wskaże, jak dostatku przysporzyć, jak z mężem w słodkiej zgodzie żyć, jak dziatki wychować na zdrowych, światłych i cnotliwych ludzi. Gazetka da ukojenie w smutku, wskazówkę w niewiadomości, dobrą radę w kłopocie, ot, tak zupełnie jakby rozmowa z mądrym, dobrym, miłującym człowiekiem.

A jak szanować Was będą bracia i mężowie, gdy zobaczą, że do oświaty dążycie! Wnet przestaną mówić z lekceważeniem, że u baby włos długi, a rozum krótki, wnet nabiorą zaufania do Was i nic ważnego nie przedsięwezmą bez naradzenia się ze światłą siostrą, żoną lub matką.

Garnijmyż się więc do gazetki, do książki, oświecajmy się dla własnego naszego dobra i dla szczęścia naszych rodzin i dla pomyślnej przyszłości Ojczyzny, która upadła dlatego, że lud był ciemny i o niczem nie wiedział.

A teraz jeszcze krótkie wyjaśnienie, skąd się wzięła ta gazetka, kto ją będzie wydawał, kto się o nią troszczy.

Rzecz miała się tak: Kobiety polskie, które od lat wielu pracowały w rozmaitych stronach dla dobra Ojczyzny, a przedewszystkiem dla oświaty ludu, zjechały się w tym roku w górskiej wsi, zwanej Zakopane. A zjechały się po to, aby poznać się wzajemnie, opowiedzieć sobie o tem, co zrobiły dobrego i pożytecznego, a także aby naradzić się nad dalszą pracą i pomagać sobie wspólnemi siłami dla tem lepszego skutku, bo co gromada, to nie jeden człowiek.

Narady owe kobiece rozpoczęły się w dzień Matki Boskiej Zielnej i trwały przez trzy dni, z rana i popołudniu. Udział w nich brały zacne Polki z Warszawy, Poznania, Krakowa, Lwowa, Wilna, Lublina, Radomia, Kijowa i innych miast. Wszystkich uczestniczek zjazdu było z górą trzysta. Radzono o rozmaitych ważnych i pożytecznych sprawach ale najbardziej o oświacie ludu wogóle, a kobiet wiejskich w szczególności, bo to dla nas rzecz najważniejsza. W końcu uchwalono wydawać gazetkę dla kobiet wiejskich i małomiejskich. Uchwałę tę całe zgromadzenie, złożone z gorących miłośniczek ludu, przyjęło jednogłośnie z żywą radością. Potem wybrano komitet redakcyjny. Do komitetu weszły Polki ze wszystkich dzielnic Polski, a więc z ziemi, zabranej przez Moskala i z ziemi, która pod Prusakiem pozostaje i z ziemi polskiej, którą teraz Austrya rządzi. Chociaż więc rozdzielone granicami, niewiasty polskie połączyły się w tej pracy, jak łączą się zawsze w miłości Ojczyzny i ludu.

Nazwałyśmy gazetkę *Przodownicą*, bo pragniemy z duszy i serca, aby jej czytelniczki przodowały innym w oświacie i cnotach, aby przyświecały pięknym przykładem, jako wzorowe córki, żony, matki, gospodynie i obywatelki.

O drogie siostry, widzimy zdaje się, jak bierzecie tę gazetkę w spracowane ręce, jak czytacie nasze słowa z ufnością i serca biją nam z radości, i wołamy do Was z otuchą i wiarą: pracujmy razem, wspólnie, a lepsza, szczęśliwsza zajaśnieje nam dola!

*Komitet redakcyjny.*

## Przodownica.

Idzie przodem w wieńcu z żyta
Na spalonej skroni,
Białym sierpem pobłyskuje
W pracowitej dłoni.

Białym sierpem pobłyskuje
Ponad łanem zboża
Od jutrzenki — aż gdy zgaśnie
Ta wieczorna zorza.

Ponad łanem się pochyla,
Pot jej ciecze z twarzy,
A w ślad za nią, gnie się, zwija
Tłum skrzętnych żniwiarzy.

Naręcz pada za naręczem,
Pokos za pokosem,
A na czele przodownica
Śpiewa srebrnym głosem.

O tem bożem słonku śpiewa,
Co dopieka w polu,
I o kłosie tym ziarnistym
I o tym kąkolu.

O tej doli i niedoli,
Która chłopa gniecie,
I o szczęściu, co się skryło
Gdzieś w dalekim świecie.

O tym gradzie, który pobił
Pszenicę na łanie,
I o zgasłej tej nadzieji,
Co zmartwychpowstanie.

O tym Jasiu, który poszedł
Na daleką wojnę,
I jak za nim bije w chacie
Serce niespokojne.

I jak trzeba chodzić w znoju,
Jak się budzić trzeba,
Aby doma był na stole
Kęs suchego chleba.

I jak trzeba mieć w swem łonie
Niezamarłą wiarę,
Że nastanie dzień, gdzie padnie
To, co złe i stare.

I jak trzeba dążyć naprzód
Siłą duszy młodej,
By zajaśniał jak najprędzej
Ten dzionek swobody.

Takci śpiewa przodownica,
Tak śpieszy na czele,
A do stóp jej ciężkie zboże
Ściele się i ściele.

A w ślad za nią tłum żniwiarzy
Zagonami kroczy,
Rad się zwija, chociaż w znoju
Zachodzą mu oczy.

Rad się zwija, spiekłą skronią
Ku słońcu zwrócony:
Wie, że z ciężkiej swojej pracy
Błogie zbierze plony.

*Jan Kasprowicz.*

# O przezacnej Polce Emilii Sczanieckiej.

Przezacna niewiasta, której wizerunek tu oto widzicie, Czytelniczki miłe, jaśniała cnotą i mądrością, a lud wieśniaczy miłowała tak gorąco, jakby nie jedno, lecz sto serc biło w jej piersi. Obowiązkiem więc naszym jest poznać piękne życie Emilii Sczanieckiej, aby złożyć hołd wdzięczności błogosławionej jej pamięci, a bardziej jeszcze, aby naśladować wedle możności jej czyny, aby uczyć się od niej poświęcenia, wiary, miłości.



Emilia Sczaniecka przyszła na świat w Wielkopolsce, w tej części naszej Ojczyzny, którą Prusak teraz rządzi. Jużci całą tę śliczną ziemię miłujemy, która jest nam Matką-Ojczyzną; ale o stronach rodzinnych Emilii, o Wielkopolsce, trudno pomyśleć nawet bez rzewnej łzy w oku. Wszak to tam, nad jeziorem Gopłem, które szeroko, niby jakie morze, rozlewa srebrzyste wody, stała przed wielu setkami lat chata Piasta, co został najstarszym w narodzie. Wszak to tam, w Wielkopolsce, była siedziba pierwszych królów polskich, sławnych wnuków i prawnuków onego chłopa Piasta. I w tamtych także stronach, wedle opowieści ludu, ojcowie nasi, trzebiąc las dla wybudowania miasta, znaleźli gniazdo orłów białych. A te cudowne ptaki tak się im podobały, że i miasto nazwali od gniazda orlego Gnieznem i wyobrażenie białego orła jęli odtąd umieszczać na chorągwiach czyli sztandarach, jako znak polskiego państwa.

O tak, trudno pomyśleć o rodzinnych stronach Emilii Sczanieckiej, bez łzy rozrzewnienia w oku!

Emilia Sczaniecka urodziła się w okazałym dworze pańskim, wśród dostatków i bogactwa, nie zaznała jednak wielkiego szczęścia w dziecinnych latach, bo rodzice wcześnie ją odumarli. Wzrastała, jako sierota, a pociechą jej największą było zrobić komu co dobrego, lub z mądrych książek czerpać światło, jak pszczoła czerpie miód z kwiatów. Do oświaty garnęła się zawsze z wielkiem zamiłowaniem; do książki była strasznie chętliwa. A mając lat dwanaście, wniosła do sądu opiekuńczego prośbę, aby jej pozwolono zamieszkać na pewien czas w mieście, bo z całego serca pragnie poznać wszelakie nauki, których uczą w szkołach miejskich.

Jakoż po uzyskaniu pozwolenia opiekunów, udała się do niemieckiego miasta Drezna, gdzie w onych czasach istniały najlepsze dla dziewcząt szkoły, i tam przykładała się gorliwie do nauki przez lat kilka. Skoro jednak skończyła uczyć się, ani chwili nie chciała pozostać wśród obcych. Pilno jej było wrócić w strony rodzinne. Wszak po to pragnęła oświaty, aby módz tem skuteczniej pracować dla ojczyzny miłej, dla Polski.

Miała lat ośmnaście zaledwie, gdy jęła gospodarować w Pakosławiu, majątku, odziedziczonym po ojcach, którego obszar wynosił pięć tysięcy morgów. Młodą była, jak widzicie, drogie Czytelniczki, lecz rozum miała doświadczony, jako mądry człowiek, co długo żył na świecie, a serce odważne i niezłomne, niby jaki rycerz, co idzie bez lęku w ogień i wodę.

Nie mało się znalazło takich, co pragnęli pojąć za żonę śliczną, cnotliwą i bogatą panienkę. Emilia jednak swatów nie przyjmowała, bo nie chciała stwarzać sobie własnej rodziny, aby módz wszystkie myśli i uczucia, cały czas i majątek poświęcać Ojczyźnie i braciom bliźnim. Od wczesnego też ranku do późnej nocy nie ustawała w zabiegach i pracy. Szyła odzież dla ubogiej dziatwy wiejskiej, odwiedzała i leczyła chorych po chatach, chowała sieroty, opieko-

wała się bezsilnymi starcami, garnęła do miłującego serca smutnych, nieszczęśliwych, pokrzywdzonych, przykładała gorliwą rękę do każdej dobrej sprawy.

A gdy Ojczyzna zapotrzebowała większych poświęceń, trudniejszej ofiary, poszła jej służyć, jako wierna córka, co gotowa życie położyć za matkę.

Było to tak.

Wiecie zapewne, drogie Czytelniczki, że Polska, niegdyś potężna i sławna, utraciła wolność dawniej, niż przed stu laty i że ziemię jej potargali źli sąsiedzi. Któraż z nas nie widziała, jak miota się ptaszyna, zamknięta w klatce, jak dziób krwawi i główkę rozbija o pręty, byle wylecieć na swobodę, w słońcu szczebiotać, w szumiącym lesie gniazdko sobie wić. A co robi człowiek, który wolność utracił? Miałżeby gorszy być od lichej ptaszyny? O zaiste, nikczemnym byłby naród, któryby lubił chodzić w jarzmie, niby wół bezmyślny, któryby lizał, jako pies, nogę, co go potrąca! I dzięki niech będą niebu, że nie jesteśmy córkami takiego narodu. Nasz naród polski słynął po wszystkie czasy ze szlachetności, z pięknych cnót rycerskich, z zamiłowania wolności. To też Polacy nie dali się złamać zawistnym losom i od stu lat walczą bohatersko z wrogiem o należne sobie prawa, o język, ziemię, wiarę ojców!

Nie potrzebuję jednak przypominać Wam, miłe siostry, o świętych walkach naszych za Ojczyznę i wolność. Pamiętają o nich pod wiejską strzechą. W Galicyi małe nawet dziecko opowie, jak to Kościuszko bił wojsko moskiewskie przy pomocy chłopów krakowskich, którzy brali armaty czarnemi od pługa rękami. W Wielkopolsce żyją po dziś dzień włościanie, co walczyli mężnie za ojczyznę z Prusakami w 1848 r. i szczodrze poili gorącą krwią tę drogą ziemię, nasiąkłą ich potem. W Warszawie i Wilnie lud miejski lubi opowiadać o tem, jak wielotysięcznym gminem walczył z żołdactwem cara, jak nastawiał, nieustraszony, otwartą pierś na strzały i mężnie umierał za wiarę i Ojczyznę... Oh, pamięta lud wiejski i miejski o tych świętych walkach i nie trzeba mu o nich przypominać.

Ale urwała się nam opowieść o Emilii Sczanieckiej, jako nić u kądzieli, gdy wzruszona ręka targnie wrzecionem. Nawiążmy ją znowu.

Najważniejszym rokiem w jej życiu był rok 1831. Toczyła się wówczas jedna z tych wojen o wolność i ojczyznę, o których mówiłam wyżej. Zapałem, nadzieją, miłością płonęły natenczas wszystkie serca prawdziwie polskie, a kobiety nie ustępowały mężczyznom w poświęceniu i odwadze. Jedne oddawały pieniądze, bogate stroje, korale, złoto i perły, aby było za co kupić strzelby i piki dla naszych żołnierzy; inne pielęgnowały z największą troskliwością chorych i ranionych na polu bitwy, jeszcze inne walczyły orężem obok mężów i braci. A w jasnem gronie Polek, które wówczas tak pięknie zasłużyły się krajowi, jedno z najpierwszych miejsc zajmuje Emilia Sczaniecka.

Na wieść o wojnie postarała się najpierw zgromadzić jak mogła najwięcej pieniędzy i hojnym datkiem dopomogła do uzbrojenia pułku z młodzieży wielkopolskiej. A gdy dzielne owe hufce pomknęły nad Wisłę, aby walczyć obok walczącej braci, udała się w ślad za nimi tam, gdzie krew się lała, gdzie zmartwychpowstająca ojczyzna potrzebowała rąk i serc.

Wojna, choćby i dla najświętszej sprawy prowadzona, zawsze jest wojną: przynosi straty, chorobę, ból, śmierć. Emilia spieszyła więc teraz do Warszawy, aby wedle możności nagradzać straty, koić ból, oddalać śmierć. W warszawskich szpitalach, u łoża chorych stanęła, niby słodki anioł pocieszyciel, aby pielęgnować obrońców Ojczyzny, przewijać krwawiące się ich rany. Wytrwała i mężna, spędzała dni i noce w tych trudach, dopomagała lekarzom przy najboleśniejszych operacyach, a dla cierpiących miała zawsze słowa pociechy i łzę współczucia. To też gdzie się

zjawiła, tam cichły jęki, tam słowa skargi zmieniały się w modlitwę, tam konanie nawet było mniej rozpaczliwe.

Emilia po to tylko opuściła szpitale warszawskie, aby udać się do miasta Jędrzejowa, gdzie wskutek nadmiernego skupienia wojsk, które nie miały potrzebnej wygody, wybuchła cholera. Mężne jej serce nie ulękło się strasznej zarazy, sto razy na dzień narażała się na śmierć, byle innych ratować.

Męstwo i poświęcenie Emilii nie zachwiały się i wówczas, gdy wojna skończyła się po kilku miesiącach klęską dla nas, bośmy nie odzyskali wolności, nie odzyskali ziemi ojców. Chociaż chora i osłabiona wskutek nadludzkich trudów i bolesnej rany w głowie, która już nigdy nie dała się zupełnie wygoić, jęła się dalszej pracy i zabiegów, aby co wróg zburzył, to znowu odbudować.

Kilku najokrutniej okaleczonych biedaków wzięła do swego domu, do Pakosławia i tam otoczyła ich opieką i wygodą. Wychodzących z kraju żołnierzy-tułaczy zaopatrywała w odzież i pieniądze. Na obczyznie popierała szczodrze szkołę polską, aby młodzież nasza mogła uczyć się po polsku. Sprowadzała z obcych krajów książki, zakazane przez Niemców i Moskali i rozpowszechniała je potajemnie, aby Polacy mogli z nich dowiadywać się prawdy i uczyć miłości ojczyzny. Wspierała przemysł krajowy, zakładała szkółki po wsiach, zawiązywała pożyteczne towarzystwa. — Ale któż zdoła wymienić wszystkie mądre i zacne czyny tej niewiasty, której pamięć błogosławić będą dalekie pokolenia? Wspomnę więc już tylko o tem, że i w dwóch następnych wojnach o odzyskanie wolności i ojczyzny, które toczyły się w r. 1848 i 1863, okazała taką samą wielkość ducha, służyła sprawie narodowej z niemniejszym zapałem i poświęceniem, pielęgnując ranionych i chorych, niosąc im pomoc materyalną, pociechę i zdrowie, chociaż sama miała już wtedy siły stargane cierpieniem, trudami, wiekiem.

Na chlubę Polski, na szczęście wszystkich, co ją znali, wielbili i miłowali, świętej pamięci Emilia żyła długo. Rozstała się z tym światem przed trzema rokami dopiero, w maju 1896 r., mając lat 92.

Ostatnie chwile pobytu na ziemi tej przezacnej niewiasty były równie wzniosłe, jak całe jej życie. Czując zbliżającą się śmierć, kazała otworzyć na oścież drzwi swoje dla włościan, którzy pracowali na wielkich obszarach jej ziemi. Chciała pożegnać się z nimi, chciała wysłuchać i spełnić po raz ostatni ich prośby i żądania. A chociaż srogi ból szarpał jej ciało, chociaż wieczna rana w głowie krwawiła się i zaogniała, pogodną witała twarzą cisnących się do jej łoża boleści wieśniaków i zanoszące się od płaczu wieśniaczki. I każdy, czy to mężczyzna, czy kobieta, odchodził od niej pocieszony, ukojony, choć smutny, bo wiedział, że prośba jego wnet zostanie spełniona, bo jasność tej duszy odchodzącej i jego opromieniała.

W ostatniej swej woli, czyli testamencie, ś. p. Emilia zaklęła pod błogosławieństwem rodzinę, aby pogrzeb jej odbył się bez marnej okazałości, aby ją pochowano w prostej drewnianej trumnie, w jakiej chowają komornice. Pieniądze zaś, któreby miały pójść na pogrzeb, zleciła rozdać ubogim i potrzebującym. I nikt nie poważył się zmienić ostatniego rozporządzenia zmarłej. Ubrano więc ją w czarną wełnianą suknię, w której co dnia chodziła i złożono w prostą trumnę z jesionowych desek, którą zbiły dla niej ręce chłopa polskiego...

Na mszy, odprawionej u trumny, była obecna wszystka dziatwa wiejska ze szkółki, którą założyła dla niej ś. p. Emilia. Gorącemi łzami płakały dziatki nad zgonem słodkiej swej opiekunki, a łzom ich wtórowały modły ludu, który przybył nietylko z okolicznych, lecz i dalszych wiosek i zapełnił sień, ganki, podwórze.

Po nabożeństwie stroskani chłopi wzięli trumnę na ramiona i nieśli ją przez dłuższy czas, aż do figury, a potem złożyli na wozie, jakim się do orki w pole wyjeżdża, bo taka

była wola nieboszczki. Za tym wozem żałobnym ciągnęło kilkadziesiąt powozów. Ale włościanie i włościanki, których było na pogrzebie kilka tysięcy, nie szli drogą, jeno sunęli na pole w dwóch gromadach na lewo i prawo od trumny. Biedacy, chcieli być jak najbliżej dobroczynnej swej opiekunki, która po raz pierwszy nie mogła im odpłacić sercem za serce, miłością za miłość.

I nie w okazałym grobowcu złożono drogie zwłoki, lecz spuszczono je w zwykły dół mogilny. Ś. p. Emilia nie chciała spać snem wiecznym wśród zimnych głazów, — wolała spocząć w łonie rodzinnej ziemi, tej ziemi polskiej, co „niby jakie ludzkie ciało, cała krwią przecieka, niby jakie matki oko tyle łez ma w sobie“.

*Marya Wysłouchowa.*

# Jak zwalczać biedę.

O tem, żeśmy biedni, mówi świat cały, a przedewszystkiem czujemy to sami. Letnie słońce ogrzeje nas, matka ziemia przez lato i jesień przeżywi, ale zima zastaje nas i dzieci nasze niedostatecznie ciepło odzianymi, zapasów żywności i opału nie wiele, a niejedni są nawet bez zapasów, co najwyżej mają trochę ziemniaków, do których na przednówku brakuje nietylko omasty, ale nawet soli. A ten ciężki przednówek znosimy nietylko my i dzieci nasze, ale nasza krowa, nasz wieprzak i nasze kury. To też z utęsknieniem czekamy ciepła wiosennego, aby z wiosną rzucić zagrodę własną, swój kraj, swoich ludzi i pójść w obczyznę za zarobkiem i pracować wśród ludzi obcych nam mową, zwyczajami i religią. I pytamy z boleścią dlaczego u nas tak źle, i z rokiem każdym coraz gorzej? Czy już taka marna rola nasza, że około niej pracować nie warto?

Oj nie! ziemia nasza urodzajna, łąki żyzne, bydło krajowe mleczne, lasy grzybne, a wody rybne. Któż więc winien, że pola nasze marny plon wydają, a łąki nasze kretowiskami poryte, ubogą dają paszę, że krowy nasze mało mleka dają i marne cielęta rodzą? Kto winien, że lasy nasze gminne spasione bydłem, sterczą wyłamanemi pniami, a wody nasze rozlane po rowach i bagnach, rodzą tylko żaby, i wydają zgniłe wyziewy, od których mrą nasze dzieci!

Jest jeden wielki wróg pomyślności ludzkiej, wróg, co jak rdza zeżre stal twardą, co jak grzyb stoczy drzewo. Wróg ten zwie się nieumiejętnością i niezaradnością.

Abyśmy zrozumieli tę prawdę, na przykład postawię kraje, leżące na północ od nas. Kraj mniejszy znacznie od Galicyi, Dania, położony nad samem morzem, staczać musiał walkę z tem morzem, aby mu nie dać pochłaniać pól swoich, a pola to piaszczyste, gorsze znacznie od naszych. Morzu postawili zaporę, a wydarte mu ziemie z największą starannością uprawiają pod zboża lub pastwiska, hodują setki tysięcy bydła, wzorowo utrzymanego, od którego masło za dobre pieniądze sprzedają do obcych krajów. Również wieprze ich cenione są, jako najlepiej spasione i na rynkach zagranicznych bywają dobrze płacone.

Dwa kraje, wyżej jeszcze na północ od Danii położone, o zimnym, ostrym klimacie, o gruncie górskim i nieurodzajnym, Szwecya i Norwegia, także na biedę się nie użalają. Pomimo krótkiego lata i trudnej do uprawy ziemi, kraj cały zieleni się pięknemi pastwiskami, ogrodami i uprawnymi polami. Zwyciężył tu wieśniak trudności i nie tylko nie braknie mu chleba we własnym kraju, ale i życie sobie uprzyjemnia, zdobiąc dom swój w piękne narzędzia, które sam własną ręką wyrobi — a żona jego utka ciepłe odzienie dla siebie i rodziny, a nawet część własnej pracy sprzeda. A po tej ciężkiej pracy, jakby po walce zwycięzkiej z morzem, górzystą glebą i ostrym klimatem, odpoczynek im miły, śpiew wesoły ożywia zabawy, a taniec narodowy gromadzi młodzież ochoczą.

I w życiu politycznem, wieśniacy krajów tych zdobyli sobie pierwszorzędne znaczenie.

i umieją bronić praw sobie przynależnych u rządu, wysełając do parlamentu mądrych posłów-chłopów. Jakiż jest powód, że kraje te gorzej od naszej ziemi uposażone, cieszą się dobrobytem, zdrowiem i wesołością, gdy żyzne pola, lasy i łąki nasze ubożeją, a my w świat za zarobkiem wędrujemy! Dlaczego u nas coraz gorzej, a u nich coraz lepiej?

I u nich nie zawsze dobrze było, i ich bieda wyganiała po zarobek za morze; ale przed kilkudziesięciu laty znaleźli się w krajach tych ludzie rozumni, którzy pojęli, że biedę zwalczyć można tylko oświatą, tylko umiejętnością dobrego gospodarowania, w połączeniu z umiejętnością przemysłu domowego i gospodarskiego. To też z funduszów prywatnych poczęto zakładać szkoły, w których uczono gospodarstwa i przemysłu domowego, a w miarę przybywania odpowiednio przygotowanych gospodarzy i gospodyń, rolnictwo, hodowla bydła i przemysł gospodarski wzrasta, a bogactwo kraju rośnie. Dziś szkół wyższych ludowych jest w krajach tych mnogość wielka, sama Dania liczy ich około 70.

Do szkół takich na zimowy kurs półroczny wstępują chłopcy w ośmnastym roku życia, i mieszkają w zakładzie, pilnie cały czas obracając na naukę. Na letnie półrocze dziewczęta bywają przyjmowane w siedemnastym roku życia. Tak chłopcy jak dziewczęta uczą się w onych szkołach oprócz języka i historyi swego narodu, o prawach i obowiązkach obywatelskich, które im przysługują, poznają dokładnie ustawę gminną, uczą się rolnictwa, hodowli zwierząt domowych, prowadzenia ksiąg gospodarskich, rysunków, śpiewu, gimnastyki i potrosze rzemiosł, aby sobie do domu wszystko sam umiał każdy sporządzić. Uczą się dalej tkactwa, sporządzania odzieży i bielizny domowej, hygieny, to jest nauki o utrzymaniu zdrowia, w końcu uczą sposobów przyrządzania potraw zdrowo i smacznie.

Dziś już nie ulega wątpliwości, że tej oświacie prawdziwej, którą ludowi dają owe szkoły, zawdzięczają kraje, o których mówimy, to jest Szwecya, Norwegia i Dania dzisiejszą swoją pomyślność. Niema już dziś nieuków, któremi można, jak trzodą bezmyślną kierować, każdy tam mężczyzna, czy kobieta bierze udział w życiu gminy, pojmuje swoje obywatelskie obowiązki i według zasady wszyscy dla jednego, a jeden dla wszystkich, pracuje dla dobra własnego, a tem samem i dla dobra kraju.

A czyżby u nas tak być nie mogło? Czyż i u nas nie znalazłoby się pola do pracy? Pól pracy jest u nas wiele, i rąk nie zabrakłoby, tylko braknie umiejętności. Zatem potrzeba nam szkół na wzór szwedzkich i duńskich, gdzieby uczono się, jak uprawiać pola, żeby lepiej rodziły; jak utrzymywać łąki, aby paszę dawały dobrą, jak z bydlęciem się obchodzić, aby dawało dużo tłustego mleka, jak tuczyć wieprze; jak uprawiać ogrody nasze i jakie w nich sadzić drzewa owocowe, które się dobrze opłacają w handlu; jak zużytkować jagody leśne na przeróbkę win, które będąc zdrowym i smacznym napojem oduczą nas od picia trującej gorzałki. Niech dzieci nasze nauczą jak obchodzić się z pszczołami, które znakomicie się opłacają; jak przerabiać nabiał, jaki drób chować, aby go lepiej spieniężyć, a więcej jaj i pierza módz otrzymać. Niech nauczą córki nasze przyrządzać zdrowy a prosty pokarm; uprawiać len na bieliznę domową, utkać ją i uszyć. W końcu niech nas nauczą hodować owce, których wełnę, jeżeli będziemy umieli przerobić na odzież ciepłą dla siebie i rodziny, grosz w domu zostanie, a nawet i przybędzie ze sprzedaży tkaniny, jeżeli zrobimy jej więcej niż spożytkować możemy, bo ręczna, domowa robota zawsze kupca znajdzie. Nasza długa zima daje dużo czasu na tego rodzaju pracę — a jakże tej zimy zazwyczaj używamy? Mężczyzna, powróciwszy z robót jesiennych, nadaremnie ogląda się za robotą; dziewczęta, nie mając przy czem w chacie zimować, puszczają się do miasta za służbą, więcej z tamtąd wynosząc szkody, jak pożytku.

A więc niech sam lud postara się o zdobycie nauki zawodowej. Stowarzyszajmy się, szukajmy przyjaciół i radźmy sami o naszej biedzie. Przestańmy czekać na dobro, które nam z sejmu lub parlamentu przyjdzie. Czekamy już długo, a biedzie końca niema. Przestańmy się już w końcu czegoś dobrego stamtąd spodziewać i pamiętajmy, że dziś dzieci nawet z obietnic się nie cieszą. Pamiętajmy, że prawdziwym skarbem jest umiejętność, własnem staraniem zdobyta. To pewne, że gdyby nam dziś dano górę złota do równego podziału, jeszczeby nas to nie wzbogaciło. Jest na południu kraj: słońce tam świeci przez cały rok cudnie, a ziemia rodzi, aż dziw ogarnia, Hiszpania. Do tej Hiszpanii po odkryciu Ameryki zwieziono fury i fury złota, znalezionego w Ameryce. I cóż? Złoto przyszło, poszło, naród się rozleniwił, odwykł od pracy, rozum jego zasnął i dziś jest to kraj biedniejszy od naszego.

Nie o złoto więc ubiegajmy się, ale o mądrość, a gdy mądrość posiądziemy, będziemy wiedzieli co robić, i wzbogacimy siebie i kraj nasz kochany, o którym powiedział poeta: „Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie“. A nim powstaną u nas takie szkoły, o których wyżej była mowa, starać się będziemy, za pośrednictwem *Przodownicy,* dostarczać miłym czytelniczkom rozmaitych pożytecznych wiadomości. *A. Sikorska.*

## Kilka uwag o krowie w małem gospodarstwie.

Krowa to matka, mówią gosposie, przywiązane do swej karmicielki, która nietylko nas i dzieci nasze obdzieli zdrowym i posilnym pokarmem, ale da go tyle, że część tegoż sprzedać możemy. Dla tego krowie pierwsze zostawiamy miejsce w naszych pogawędkach gospodarskich, pragnąc zapoznać troskliwe gospodynie z zasadami dobrego żywienia i postępowania z krową, która wszelki trud około niej podjęty sowicie nam wynagradza ilością i dobrocią swego mleka.

Mleczna krowa powinna być odpowiednio i dostatecznie żywiona; z próżnego i sam Salomon nie naleje, mówi przysłowie, jakże żądać tego od krowy, czemu nie podołałby mądry król żydowski? Mówię odpowiednio żywiona, to jest karma powinna być posilną: a zatem nie pożywi krowy dostatecznie słoma, choćby w większej ilości, ani siano złe, źle zebrane lub kwaśne, to jest z mokrych łąk, w którem znajduje się roślina skrzyp zwana, która wprost wpływa na ubytek mleka. Nieraz słyszymy o czarownicach, które czarami mleko krowie odbierają; jeżeli coś podobnego zauważymy, zwróćmy uwagę, czy przez przypadek lub złość nie został krowie podany do zjedzenia skrzyp w większej ilości, a tajemnicę czarów będziemy mieli rozwiązaną. Aby szanowne gospodynie baczne miały oko na tę roślinę, zaznaczamy, że rośnie ona dość pospolicie na mokrych łąkach podobną jest do małych sosenek, a wysoką bywa na ćwierć łokcia i wyżej czasem. W górskich okolicach nazywają skrzyp kądziołką, lub kocurzym ogonem.

Należy się wystrzegać karmienia krowy mlecznej specyalnie kiszonką za kwaśną, lub ziemniakami w zbyt wielkiej ilości, zwłaszcza przemarzłemi lub nadgniłemi.

Nie potrzebuję chyba dodawać, że służy krowie siano słodkie, buraki pastewne, koniczyna, marchew, a przedewszystkiem pastwisko z słodką trawą.

Również ważną rzeczą jak pożywienie, jest odpowiednie pojenie krowy zdrową i czystą wodą. W zimie potrzeba uważać, aby woda nie była wprost z pod lodu, a zatem za zimna; gdy krowa, która potrzebuje się dość napić, przyjmie do żołądka wielką ilość zbyt zimnej wody, zużyje potem tyle wewnętrznego ciepła i siły na rozgrzanie tej wody, że to zaraz wpłynie na umniejszenie mleka w ilości. A zatem woda w zimie powinna być wystała parę godzin w izbie, lub doprawiona ciepłą wodą o tyle, aby nie była za ciepłą, bo za ciepła lub nieświeża woda krowy nie odświeży i nie zaspokoi należycie jej pragnienia.

Często z powodu lodu na wodzie niedbałe gospodynie dostatecznie krowy nie napoją; jest to wielki błąd, którego należy się jak najpilniej wystrzegać, bo nie tylko krowie szkodzi brak napoju, ale w znacznej mierze umniejsza ilość mleka.

W lecie potrzeba się postarać o dobre dla krowy pastwisko i niezbyt oddalone od domu. Zbyt dalekie chody w upał letni są dla krowy męczące, zatem jeżeli blisko zagrody pastwiska niema, należy krowę gonić raz na dzień, rano po rannym udoju, popołudniowego udoju zaniechać, a dopiero wieczorem dobrze krowę wydoić, przygoniwszy do domu. Jeżeli pastwisko jest źle utrzymane, jak to się tak często widzi u nas na naszych pastwiskach gminnych, gdzie krowa tylko się przechadza, ale spaść nie ma co, trudno się spodziewać po takiej paszy dobrego wydatku mleka.

O tem powinniśmy pamiętać, że przedewszystkiem należy już raz pomyśleć o naszych pastwiskach, bo o poprawie w chowie bydła mowy być nie może, pokąd nie poprawimy naszych łąk i pastwisk. Dla tego w następnej pogawędce pomówimy o tem, co czynić, aby ulepszyć nasze łąki i pastwiska.

Przy dojeniu powinna dojarka uważać, żeby dojek nie ciągnąć, bo to krowę boli i mimowoli mleka wtedy nie puszcza, ale uchwyciwszy dojkę całą ręką, naciskać ją palcami po kolei, najpierw drugim palcem, następnie trzecim, czwartym i piątym z góry ku dołowi wygniatając mleko.

Ogromnie potrzeba baczyć na to, żeby mleko jak najdokładniej wydajać do kropli, najpierw dla tego, że krowa niedbale dojona przysusza mleko i coraz mniej go daje, a powtóre mleko naostatek zdojone jest najtłustsze i to w takiej proporcyi, że jeżeli pierwsze z dojek płynące mleko ma naprzykład w stu częściach dwie części tłuszczu, to ostatnie mleko na sto części będzie miało siedm części tłuszczu.

Co się tyczy pierwiastki, to ta z najściślejszą dokładnością powinna być dojona i to jak się da najdłużej. U pierwiastki gruczoły mleczne rozwijają się i powiększają po pierwszem cielęciu, a zatem im dokładniej jest dojona, tem lepiej formują się wymiona i tem wydajniejsze będą na mleko. A ten pierwszy okres mleczności krowy stanowi o jej przyszłości. Krowa, którą jako pierwiastkę, doiło się pięć do sześciu miesięcy, i po następnych cielętach nigdy dłużej mleczną nie będzie; jeżeli krowę doiło się dłużej, w następnych latach do dziewięciu, a nawet więcej miesięcy będzie trwał okres jej mleczności. — Co do dojenia, to jeszcze dodam uwagę, że pierwsze mleko z każdej dojki należy puścić na ziemię, bo jest nieczyste, a jako takie wpływa źle na resztę mleka, które, wychodząc z wyższych części wymienia, jest zupełnie czyste, jeżeli pochodzi od krowy zdrowej. A ta czystość mleka jest to rzecz bardzo ważna, jak to zaraz wyłuszczę, należy więc o nią dbać bardzo, a zatem przedewszystkiem sama krowa powinna być codzień wiechciem ze słomy i szczotką zczesywana, myta koło nóg i ogona, a to dla tego, że części kału uczepione włosków krowich, łupież i nieczystość skóry wpadają do mleka i zanieczyszczają je, a powtóre, krowie czystość do zdrowia jest potrzebna, a zatem jako zdrowsza i silniejsza więcej i lepsze dawać nam będzie mleko. Wymię krowie powinno być przed każdem dojeniem letnią wodą obmyte i wytarte czystą płócienną ścierką.

Naczynia na mleko powinna gospodyni po każdem udoju wyparzyć gorącą wodą i wysuszyć na otwartem powietrzu; a i dojarka powinna być czysto odziana i ręce mieć czyste. W krajach, gdzie przemysł mleczny wysoko stoi i cały naród z niego się bogaci, tam na czystość bardzo uważają. Dojarka, siadając do dojenia krowy, zakłada biały fartuch od piersi na cały przód, po dojeniu odpina go, pilnując, by zawsze był świeży i czysty. I stosując tę zasadę czystości zawsze, sowicie bywają za nią nagradzani, tam krowa jest nietylko matką, ale

i królową zarazem, co złotem obdarza swój kraj.

Stajnie powinny być często bielone, a nawóz w nich nie powinien być długo trzymany. Jeżeli się nawóz trzyma w stajni, należy się z nim umiejętnie obchodzić, o czem w osobnej pogawędce pomówimy, bo jest to ważna rzecz tak ze względu na sam nawóz jak i na nabiał. Nieumiejętne i niedbałe obchodzenie się z nawozem zanieczyszcza powietrze, co szkodzi krowie i powoduje wytwarzanie się różnych wad w mleku: 1) przykry zapach, 2) niemiły smak, 3) nienaturalne zabarwienie, 4) gorzknienie mleka, 5) kleistość mleka, z którego zebrana śmietana ciągnie się, jak białko, 6) a w końcu nieczyste, powietrze, jak wogóle wszelka nieczystość wpływa na zbyt prędkie kwaśnienie mleka. A o tem potrzeba pamiętać, że im dłużaj da się mleko utrzymać w stanie słodkim, tem więcej oddzieli się śmietany, gdyż przy szybkiem kwaśnieniu tłuszcz pozostaje uwięziony w ściętem mleku; a zatem żeby tego kwaśnienia unikać jak najdłużej, potrzeba czystość zachować w każdej czynności z mlekiem, a powtóre trzymać mleko w chłodnem byle niezbyt zimnem powietrzu; dla tego piwnica, w której przechowuje się mleko, powinna być przewiewna i wolna od zapachów gnijących ziemniaków, stęchlizny wszelakiej, bo mleko z wielką łatwością zapachy te przyjmuje i udziela następnie masłu.

Również ważną jest rzeczą w jakiem naczyniu mleko podstaje, aby się w niem tłuszcz swobodnie na wierzch mógł wydobyć. Otóż naczynia wysokie, brzuchate, a ku górze zwężone, z niepolewanej gliny, są najgorsze. Zanim kulki tłuszczu od dołu podejdą do góry, już mleko zetnie się, zatrzymując w sobie śmietanę, a ścina się tem łatwiej, że naczynia nie polewane, nie dając się nigdy dobrze wymyć, zatrzymują w swoich dziurkach resztki poprzednio kwaszonego mleka, które szybko nowe mleko zakwaszają. Zbieramy więc wtedy połowę tej śmietany z mleka, cobyśmy powinni zebrać. A zatem najodpowiedniejsze są miski, wogóle wszystkie naczynia płaskie, gliniane, kamienne, nawet żelazne, byle płytkie a szerokie i polewane, które z łatwością dadzą się w czystości utrzymać.

Niejedna gospodyni, przeczytawszy te moje uwagi, powie: „u mojej matki tylko w takich naczyniach trzymano mleko, a był dostatek“, a inna nawet i babkę zapamięta, która w takich hładuszczykach, jak je na Rusi nazywają, trzymała mleko. Bardzo to źle zachowywać jekieś zwyczaje, jedynie dla tego tylko, że dawne i stare.

Aby otrzymać na małem gospodarstwie dobre masło, należy się wystrzegać długiego składania smietany, lepiej częściej a mniejszą ilość masła zrobić, niż zbierać tygodniami śmietanę, na której nieraz kożuchy z pleśni się utworzą, zanim się uskłada potrzebna ilość na masło. Taka stęchła lub zgorzkniała śmietana zepsuje masło, a wartość jego znacznie obniży; żyd wprawdzie kupi, ale byle co zapłaci. A zatem jest bardzo polecenia godnem namawiać gosposie, by się wiązały w spółkę, która to spółka za zbiorowe pieniądze kupi centryfugę, to jest maszynę do oddzielania śmietany i korbową masielnicę, do przerobienia tej śmietany na masło; a tak wszystko mleko z jednodniowego udoju przerobione na masło, znakomicie się spienięża. mało kłopotu dając. Mleko odtłuszczone, to jest takie, z którego oddzielono smietanę, bywa używanem do tuczenia wieprzy, a zatem tą drogą i hodowla wieprzy na wypas podnosi się, pomówimy więc o tem w osobnej pogawędce, a tym czasem proszę szanowne gosposie, by zechciały tych kilka uwag zastosować w swojem gospodarstwie, a przekonają się, jaki przyrost w mleku i jego wartości uzyskają.

Często widzimy jedne i te same gosposie co parę miesięcy na targach, sprzedające i kupujące krowę. Na tym interesie zwykle się traci: krowę, mało dającą mleka, sprzedaje się tanio, a zachwaloną kupuje drożej. Na takim targu poniesie się niejeden wyda-

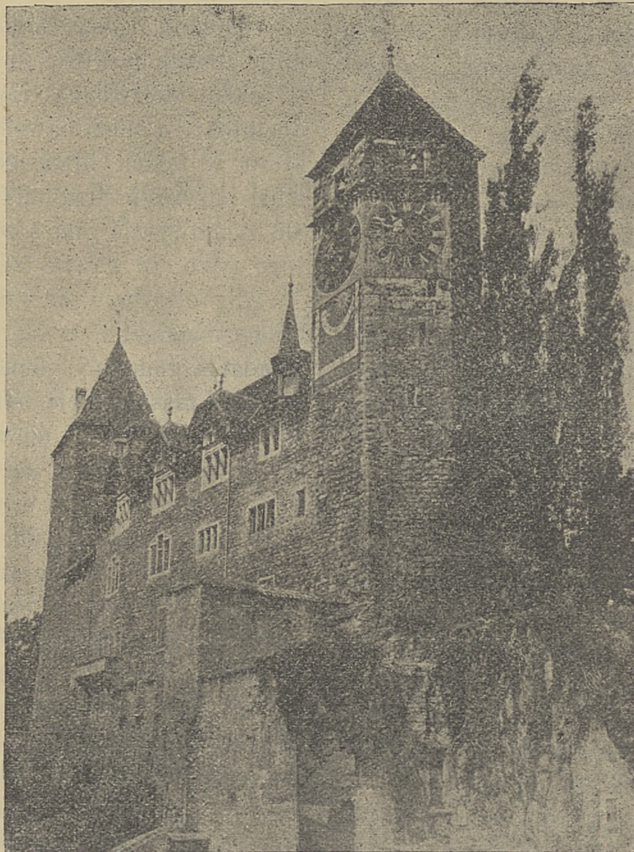
tek, straci się dużo czasu, a często się okaże, że wyprowadzona z domu krowa była lepsza od wprowadzonej. — Należy się tego rodzaju handli bardzo wystrzegać; najwięcej polecenia godnem jest, by się gospodyni postarała o cielątko z dobrego gniazda, bo mleczność przechodzi z matki na córkę, i to cielę wychowała sama na krowę; jest wszelka pewność, że przy dobrem obchodzeniu się, a przestrzegając tych przepisów, jakie tu podaję, dochowa się krowy mlecznej, zdrowej i pięknej, a im więcej krów takich w kraju naszym przybywać będzie, tem prędzej bieda ustępować zacznie z niego, jak to widzimy w krajach niektórych, gdzie przemysł mleczny daje znakomite dochody.

*A. Sikorska.*

## Z wędrówek po świecie.

My, kobitey, a zwłaszcza kobiety wiejskie, mało wędrujemy po świecie. Obowiązki domowe i nigdy nie kończąca się robota zatrzymują nas w chałupie. Lecz i w chałupie siedząc, można widzieć co jest godniejszego uwagi na szerokiem świecie i słyszeć, co się na nim dzieje. Trzeba jeno gazetkę czytać. Kto dużo i chętnie czyta, o tym można powiedzieć, że jest tak szczęśliwy, jak gdyby miał oczy, co widzą z końca w koniec świata, i takie uszy, co słyszą wszelakie mądrości.

Owóż czytając *Przodownicę* poznacie też kochane Czytelniczki, moc pięknych gór, jezior, miast, wiosek.



Zamek Raperswil w Szwajcaryi.

Na początek dajemy Wam wizerunek zamku, który się nazywa *Raperswil,* a znajduje się w kraju, o którym uczyłyście się w szkole, — w Szwajcaryi. Ta Szwajcarya to kraik mały, o połowę mniej w nim ludzi, niż w naszej Galicyi; lecz mały ten kraik ma wolność, bogactwo i szczęście, bo lud tam bardzo oświecony i okrutnie ciekawy do książek i gazet.

Zamek Raperswil, który tu macie odrysowany, wznosi się nad ogromnem wspaniałem jeziorem, w otoczeniu niezmiernie wysokich gór, *Alpami* zwanych. Szczyty Alp i w lecie iskrzą się od śniegu, tak, że wyglądają, jakby z cukru były zrobione. A w dolinach ciepło, barwiste kwiaty w nich kwitną i trawy soczyste rosną. Toż gosposie w Szwajcaryi tłuste mają krówki, a mleczne gospodarstwo huk pieniędzy im przynosi.

Zamek Raperswil choć daleko w Szwajcaryi stoi, lecz bardzo jest drogi sercu każdego Polaka; bo w nim znajduje się mnóstwo pamiątek narodowych polskich. Jak dziewuchy składają do swego kufra, co mają najlepszego, a więc: suknie od święta, wstążki, korale, świecidełka — tak naród polski, nie mający

u siebie wolności, w tym zamku chowa pamiątki po królach i sławnych ludziach, a także rozmaite zabytki z dawnych czasów i mądre księgi. W Raperswilu znajduje się też w srebrnej puszcze serce Tadeusza Kościuszki, który tak lud wiejski umiłował, że w chłopskiej sukmanie chodził, chociaż naród przyznał mu większą władzę i moc, niż któremukolwiek z dawnych królów polskich.

Nie jedna z Was, drogie Czytelniczki, słyszała już zapewne coś-niecoś o Raperswilu, bo włościanie nasi ze wsi Gręboszowa, Machowa, Zarzecza nad Sanem i Głobikowej jeździli tej jesieni do Raperswilu, a potem jeden z nich, Wojciech Wiącek opisał pięknie w *Przyjacielu Ludu* wszystko, co widział i słyszał w onej dalekiej podróży.

*M. W.*

WŁ. ORKAN.

# NA WYDANIU.

Chatka była pod lasem nieduża, gontem kryta, jak zwyczajnie chaty... W chacie mieszkał gazda niebogaty, przy nim żona i córunia Róża. Dziewczę miało lat szesnaście może, choć jej ludzie liczyli coś więcej — dość, że zrosła ponad wiek dziewczęcy i, jak dziewka, musiała: żąć zboże, zbierać trawę dla bydląt w wyrębie, bielić latem na kamieńcu płótno... Była smukła i ładna na gębie, ale zawsze była jakąś smutną... Przecież znała białą swą urodę, bo się nieraz zapatrzyła w wodę i czytała w tem zwierciedle jasnem o swych oczach i o licu krasnem... Czemuż jednak smutną była, czemu? Ludzie po wsi mówią rozmaicie — każdy jednak sądzi po swojemu, a najwierniej opowiada życie...

*

Raz, podwieczór, stary Wojciech powrócił z żoną z jarmarku. Rózia, w czasie ich nieobecności napasła krowy, podoiła i właśnie miała się zabierać do skrobania ziemniaków na wieczerzę, kiedy starzy weszli do izby...

— Jest wieczerza? — spytali razem.

— Jeszcze nie... ale będzie. Robi się to i owo i tak dzień wnetki zleci — usprawiedliwiała się Rózia.

— Gotuj wartko!

I podczas, gdy ojciec wyciągał z rękawa pokupione drobiazgi: sól, łaty na kerpce i t. d., a matka zdejmowała ostrożnie wierzchnie spodnice, wieszając je na żerdce pod powałą, Rózia wrzuciła oskrobane ziemniaki do garnka, nakładła suchych drzew na nalepę i podpaliła chrustem. Płomień buchnął do góry i oświecił zciemniałe czeluście. Dym kłębił się koło poleni i okiennicą pchał się na strych lub schylał się do niskich odrzwi, chyłkiem wychodząc do sieni.

Drwa były suche, ogień się napalił spory, wnetki też i wieczerza była gotowa. Wszystko troje obsiedli miskę i pożywali dar boży. Jedli jakiś czas w milczeniu, odmuchując gorące ziemniaki; nareszcie matka, spoglądając na córkę z ukosa, odezwała się niby od niechcenia:

— Walek się nas pytał o ciebie na jarmarku...

Rózia spojrzała na matkę, zrozumiała dobrze to zagadnienie, nic jednak nie odrzekła. Jadła dalej. Niech mówią.

— Przyszedł ku nam i wołał nas na wino, ale nam się spieszyło do chałupy — mówiła dalej matka, oczekując od córki jakiego słowa. Ale Rózia milczała uparcie.

— Mówił, że tu zajrzy kie do nas ze swoim strykiem i... cóż ty na to? — spytała córki wprost, widząc, że ta jej nie słucha. — Przystałabyś?...

— E, róbcie, jak chcecie! — odpowiedziała niechętnie córka.

— Dyć nie ten, to ten, ale zawdy kogosi przyjąć trzeba — odezwał się ojciec. — Bo się nie obejdzie. Ja już robić nie zdolę. A jak nie obrobisz tej ziemi kochanej, to się też ta i niczego nie spodziewaj... Mocny Boże! Dyć dobrze, pokiela my sami. Przyjdzie zięć, to już kłótnie, obrazy boskie, co niemiara... No, ale trudno... człek już nie da rady... gwałtem trzeba kogoś przyjąć!

Ojciec prawił, a córka słuchała i żałość wielka ściskała jej serce. To prawda, że wcześniej, czy później musi wyjść za kogo... bo robić nie ma kto — sama widzi. Ale cóż, kiedy jej rają wszystkich, ino nie tego, kogoby ona wolała...

Kiedy już Rózia posprzątała miski, a ojcowie dumali iść spać, wtedy ucałowała ich ręce i odezwała się nieśmiało:

— Kiedy już taka wola Boska, to mie też dajcie za Jadzynego Wojtka... mój tatusiu!

— Co ty pleciesz, bajano? Za Wojtka? Śnije ci się, abo co? Dyć u nich bieda taka, żeby siekierą nie uciął!

— Ta i u nas nie lepiej — ośmieliła się zauważyć.

— To trza, coby lepiej było! Rozumiesz? Jak przyjdzie zięć z pieniędzmi, to pola dokupi... A na cóż ja się o ciebie starał, ciężko nie letko, żebych jeszcze nie miał skrzepienia na starość? No powiedz sama?... Nie tacy się trafiają. Jantek od Majerza obiecał pięć stówek, a Walek da i siedem, jak się go przyciśnie... A Wojtek co ma?

— Może się dorobić...

— Dorobi się ta, jak nie ma na czem!... Dyć i ja pracował przez tyle lat, a co? Taka sama bieda, jak była. Jeszcze gorsza...

— O nie wybieraj, Róziu! — ozwała się matka — bo dobrze, że masz w kim... ale — ty myślisz, że oni się o ciebie dobijają? Ho! ho! Dziecko! To nie dawne czasy, kiedy patrzeli jeszcze na urodę... Dziś ino grunt! a stówki!... A jak tego niema...

— Wojtek nie patrzy na grunt...

— Ba, może na ciebie?

— Juści na mnie! Żebyście wiedzieli...

— A ty nas nie przemądrzaj! — rozgniewał się ojciec. — Bo my dłużej na świat patrzeli, niż ty ziembo... Przecie każdy ojciec — prawił już łagodniej — każdy rodzic z duszyby rad jak najlepiej la swego dziecka... z całego serca pragnie szczęśliwości la niego... Ino trza ojców słuchać, a nie swojej woli! Padam ci też naprzód, jak przyjdzie Walek ze strykiem na te... namowiny — żebyś nie pokazywała żadnej niechęci! A teraz idź spać.

Rózia, nic już nie mówiąc, rozczesała jasno-lniane włosy, związała je tasiemką, potem klękła, zmówiła pacierz, spodniczynę rozpasała jedną jedyną i wsunęła się do łóżka po cichu. Nie mogła usnąć, i nie i nie...

Myślą pragnęła do snu przywołać Wojtusia, a zły duch jakiś na przekór stawiał jej przed oczyma obrzękłą, brzydką twarz Walka... i spijże tu? Oj niedolo, niedolo!... Owinęła głowę poduszką i szlochała długo, aż sen-przyjaciel lekkiemi objął ją ramiony i ukołysał...

Na drugi dzień, ledwo słonko wyszło — Rózia zerwała się z posłania i, owinąwszy się białą, lnianą łoktuską, pobiegła do wyrębu — na maliny... Zanim matusia śniadanie zgotują, uzbiera sobie pełny dzbanek jagód.

Ranek był prześliczny. Słonko, ledwo wytoczyło się na szczyty niedalekich gór, już zajrzało po drodze do wszystkich chat, o wodę szumiących potoków uderzyło promieniami i skrysztaliło białe krople z wysokich spadające skał.

Potokiem woda huczy ciąż i nieustannie, po ostrych skałach rozbija się w piany, a pod jazami na baniorach srebrno-łuskie pstrągi rzucają się i skaczą błyskawicznie, szybko, kreśląc ogniste smugi po powierzchni.

Ścieżyną wąską, ponad potok, skacze dziewczę lekko i zgrabnie w swobodnych podrygach, jak biała pliszka po kamieniach wodnych. Dopadła kładki, powietrzem, zwinnie, jak kozica dzika, przebiegła po niej i zagłębiła się w leśnej ścieżynie.

Wnet wyszła na polankę i, otrącając bosemi stopami perliste w słońcu rosy, jak ta przepiórka biegła ku wyrębom.

Dojrzała w kraju maliniaki i chyżo poskoczyła ku nim, obrywając paluszkami kraśne jagody i rzucając po garści do dzbana. Wnet napełniła naczynie. Z okopistej pełni staczały się maliny na ziemię, jak duże krople, krople krwi.

Odetchnęła chwilę, usiadłszy na spróchniałej kłodzie. Przed nią potok huczał w roztoce spadzistej, nad nią szumiały bojaźliwie smereki

i szeleściły bukowe liście nieustannym cichym szeptem, ,wciąż... Zdawało jej się, że to wszystko mówi do siebie niezrozumiałe jakieś słowa i tajemnicze pieśni gra... Żal jej się zrobiło, że ona tego nie słyszy, ale pocieszyła się tem, że może i nikt z ludzi na świecie nie słyszy tych słów i nie rozumie.... Może nikt. A potem ogarnęła ją dziwna jakaś tęsknota za nieznanem, którego nigdy nie ujrzy na swoje oczy, za czemś tak dalekiem, jak to niebo hań w górze... A potem smutek się począł sączyć kroplami w jej serce i wzbierał, wzbierał zwolna, rósł i przepełnił się łzami, bo wytrysły z oczu, jak tarki na mrozie, siwiutkie.

Wtedy to popłynął jej śpiew po drzewach, własny, cichy i drżący:

»Bukowe listeczki zwiesiły się w dole —
Pozierają smutnie na moją niedolę..«

»Wietrzyczek liściami po konarach szuści —
Żałoś, moja żałoś już mie nie opuści...«

I leciała dziewicza skarga na równiane łęgi i topiła się w szumie potoku bez echa...

— Oj, trza wracać... — szepnęła, otrząsnąwszy się wreszcie z tych zamyślałości.

Dokończenie nastąpi.

## Rozmaitości.

**Co ludzie o Przodownicy mówią?** Żadne oko nie widziało jeszcze naszej gazetki, a już wieść o niej biegła daleko i szeroko po kraju. Mówiono o *Przodownicy* po wioskach, mówiono i po miastach. Wołały o niej głosy ludzkie tak donośnie, jak głosy dzwonów, zwiastujących miłe święto. A wieleż to listów otrzymała *Przodownica!* Pisały do niej dziewuchy i gosposie, pisali chłopi. Za te słowa przyjaźni *Przodownica* dziękuje staropolskiem „Bóg zapłać“. Cni się jej okrutnie, że nie może tych miłych listów ogłosić w pierwszym zaraz numerze, ale skądże miejsca weźmie? Dla przykładu jeno jak się nią cieszą mężczyźni nawet i po miastach, przytaczamy ustęp z listu rękodzielnika z Krakowa, który tak pisze:

„Szczęść Boże *Przodownicy* w pracy, którą podjęła. Mam niepłonną nadzieję, że kobiety rozsądne dla pomyślności i moralności rodzin mogą więcej zrobić, niż my, mężczyźni. Bo my zajęci pracą, często odłączeni od familii jesteśmy, a kobieta, jak ta kokosz, zawsze ma swe pisklęta na oku.

Ja gdym przeczytał, że *Przodownica* wychodzić będzie, z radości rozbeczałem się, — strumieniem łzy mi się cisły w oczy“.

**Dnia 29 listopada** święciliśmy wszyscy 66-tą rocznicę walki narodu naszego z carem moskiewskim o wolność. Mówimy szerzej o sławnej tej wojnie w opowiadaniu o Emilii Szczanieckiej. Tu więc jeno zwracamy uwagę, żeśmy zawsze powinni czcić myślą i sercem pamiątkę tego dnia, w którym niegdyś ojcowie nasi ofiarą z życia i bohaterską walką usiłowali zerwać sromotne pęta niewoli, krępujące cały naród.

**50-ta rocznica zgonu.** W roku bieżącym upłynęło lat 50 od chwili śmierci jednego z najsławniejszych naszych poetów czyli pieśniarzy, Juliusza Słowackiego. Zmarł on w mieście Paryżu, we Francyi, w r. 1849, młodo, bo nie przeżył nawet lat 40.

Przed kilku laty młodzież polska powzięła myśl sprowadzenia do Ojczyzny zwłok jego. W tym celu zawiązany komitet rozesłał w sierpniu r. b. odezwę, wzywającą wszystkich do składania choćby najmniejszych datków na koszt sprowadzenia drogich nam popiołów do Krakowa, by spoczęły w ziemi ojczystej.

W Miłosławiu, w Poznańskiem, pp. Kościelscy wznieśli teraz piękny pomnik naszemu wieszczowi. We wrześniu odbyło się bardzo uroczyście odsłonięcie tej pamiątki, w obecności wielu Polaków z całej Polski.

**„Zorza“.** Przed paroma miesiącami rząd moskiewski zabronił wydawania pisemka ludowego *Zorza*, wychodzącego w Warszawie. Moskale, jak wszyscy ciemięzcy, nie chcą dopuścić, by włościaństwo polskie było oświecone, bo lepiej potrafiłoby się bronić i praw swych pilnować. A że *Zorza* dawała dużo pożytecznych wiadomości i chętnie była na wsi czytana, więc rząd zabronił ją wydawać.

W Polsce pod Moskalem szkoła jest moskiewska, małe dzieci muszą już uczyć się w nienawistnej, obcej mowie. To też wieśniacy bronią się tam od szkoły, sami między sobą uczą się po polsku, kupują książki polskie, pragną oświaty, ale nie przez moskali podawanej.

Zdarzyło się we wsi Michałowice w gubernii radomskiej, że gdy wieśniacy nie chcieli płacić uchwalonego przez gminę podatku na szkołę,

wiedząc, iż w niej duch moskiewski truć będzie ich dzieci od maleńkości, moskale dopuścili się takich gwałtów, że naczelnik powiatu ze strażnikami grabił mienie chłopskie i sprzedawał chudobę za marne pieniądze na ściągnięcie owego podatku.

**Dżuma.** Piszą teraz we wszystkich gazetach o dżumie, czyli morowem powietrzu, które szerzy się w Rosyi około miasta Astrachania. Straszna ta choroba setkami ludzi zabija, a mało kto zdoła ją przetrzymać. Jest bardzo zaraźliwa, dlatego rządy sąsiadujących z zarażonemi okolicami państw, zamykają granicę i nie puszczają przyjezdnych z takich miejscowości do swego kraju. Tak już teraz zrobiono na granicy Rumunii, gdzie nie puszczają przyjeżdżających z Rosyi południowej.

**Skutki pojenia dzieci wódką.** Niedawno zdarzył się w jednej wiosce smutny wypadek. Paroletniemu synkowi ojciec dawał często po parę kropel wódki; raz dziecko dorwało się do flaszki i wypiło parę łyków. O mało tego nie przypłaciło życiem, gdyż dostało konwulsyi i zajęcia mózgu. Tak to nierozważni rodzice mogli z własnej winy utracić dziecko.

**Krowa ubogich.** Kozę nazywają u nas powszechnie pogardliwie „żydowską krową“, lub „żydowskiem bydlęciem“. A jednak w innych krajach, mianowicie w Anglii, jest ona uważana za zwierzę bardzo pożyteczne. Wyżywi się byle czem, a mleko jej jest pożywne i zdrowe; niemowlę i starzec łatwo je trawią. Koza nie podlega suchotom, więc mleko jej tych zarazków nie zawiera, co często trafia się w mleku krowiem. Niektóre gatunki kóz, mianowicie kozy nubijskie, wydają mleko bez owego przykrego zapachu, który głównie odstręcza od mleka koziego. Dużo też zależy od żywienia zwierzęcia i utrzymywania go w czystości. Dobra koza może być prawdziwą karmicielką rodziny.

**Środek przeciwko pleśnieniu chleba.** Na wsi, gdzie wypada piec odrazu znaczną ilość bochenków chleba, napada na nie czasem pleśń przy dłuższem ich przechowywaniu. Dla zapobieżenia temu, należy bochenki po wyjęciu z pieca, włożyć do worka, w którym jeszcze nieco mąki pozostało, tak, aby bochenki wierzchnią stroną skórki stykały się z sobą. Po napełnieniu worek się zawiązuje i zawiesza w przewiewnem miejscu. Tym sposobem chleb daje się przechować przez cztery do sześciu tygodni, nie wysychając i nie okazując ani śladu pleśni. Przed użyciem kładzie się bochenek na jedną noc do piwnicy, aby chleb był miększy.

# PYTANIA i ODPOWIEDZI.

W tym dziale ostatnim *Przodownica* odpowiadać będzie na wszelakie pytania, z któremi do niej się zwrócicie, miłe Czytelniczki. Nie bójcie się, wszystko poradzi opowiedzieć, jak się patrzy, czy ją spytacie o srebrną gwiazdkę na niebie, czy o to, jak plamę wywabić ze świątecznego fartuszka, czy zechcecie wiedzieć, co się dzieje w głębi morza, czy też jakie najlepiej ziółka dawać dzieciakowi, gdy go kaszel męczy. Otrzymałyśmy już kilka pytań, które dowodzą, że wiejskie kobiety i dziewuchy strasznie są ciekawe do dobrego. W tym jednak numerze odpowiemy jeno na pytanie Maryanny Parańki ze wsi Skołyczowa, bo chcemy rozpocząć od chleba, który musi być bardzo potrzebny, jeżeli co dnia prosimy w modlitwie: „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj“.

Owóż Maryanna Parańka zapytuje, czy można piec chleb z ziemniaków i jak się to robi? Ależ można, Gosposiu miła, można! Chleb z ziemniaków jest smaczny, zdrowy i tańszy od żytniego. Oto macie

**Dobry sposób pieczenia chleba z ziemniaków.** Ziemniaki należy oskrobać i wypłukać jak zwykle do gotowania, a potem rozgotować całkiem i odcedzić starannie. Gdy wystygną tak, że w nich rękę utrzymać można, przeciera się je przez sito wprost do dzieży. A dzieży, tak samo jak przy żytnim chlebie, nie trzeba myć, lecz jeno przykrywać szczelnie płótnem i denkiem drewnianem. Potem należy mięsić przetarte ziemniaki z mąką żytnią, tak, żeby ziemniaków było n. p. 6 garncy, a mąki 3, t. j. dwie części ziemniaków, jedna mąki. Pamiętajcie jeno, aby wody nie dodawać ani kropli, nawet rąk w niej nie maczać. Gdy się ciasto wyrobi, nakryć je dobrze i trzymać w cieple przez całą noc i część dnia, to jest przez 15—16 godzin. Nazajutrz dosypać drugie tyle mąki, co przy rozczynie, dodać soli i kminku, wody znowu ani kropli, i mięsić prędko i mocno. Gdy ciasto zacznie odstawać od rąk, wtedy przestać i dać róść jeszcze 3—4 godziny, bacząc, aby zbyt nie przerosło. Następnie wyrabiać bochenki, dać im trochę podróść na stolnicy, i sadzić do mocno napalonego pieca, n i e p o l e w a j ą c w c a l e wodą. W piecu bochenki powinny pozostawać koło dwóch godzin. Po wyjęciu oprzeć bochenki jedną stroną spodnią o brzeg stolnicy, aby ze wszystkich stron powietrze je owiewało i aby jednakowo stygły.

Dajże Wam Boże, gosposiu, aby już za pierwszym razem chleb taki się udał i wszystkim smakował. Szczerze Wam życzliwa *Wanda Reutt.*

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: **Marya Siedlecka.**
Czcionkami drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego.